



Aleksander H. Hutchinson
Cudzoziemskim okiem:
Zakopane, Jaworzyna i Tatry w relacji
angielskiego podróżnika z XIX wieku¹

Kiedy zbliżyliśmy się do gór², naszą radość tłumił nieco niepokój o to, jakie możemy tu znaleźć warunki zakwaterowania. Wkrótce wjechaliśmy w wielki sosnowy las; droga przecinała go na wprost, jak strzała. Widać było także zbocza górskie, wyłaniające się zza kilku wolnostojących domów, naprzeciwko których znajdowały się warsztaty: były to Huty Zakopiańskie³. W najwyższej części leżącej na uboczu doliny znaleźliśmy skupisko lepiej wyglądających domów; jednym z nich była gospoda, do której skierowaliśmy wcześniej posłańca, żeby powiadomić o planowanym przez nas przyjeździe i w której, jak mieliśmy nadzieję, poczyniono już wszelkie przygotowania na nasze przybycie. Niestety,

¹ Fragment książki Aleksandra Haddena Hutchinsona (1833–1903) *Try Cracow and The Carpathians*, London 1872, s. 84–137. Autor, znany także z innych podróży i poradników, spisał swoje wrażenia z wakacyjnej wycieczki po Europie. Rozpoczął ją w lipcu 1871 roku (s. 2). Odwiedził wraz z żoną między innymi Wrocław, Kraków, Tatry, Pragę, Drezno, Lipsk, Düsseldorf i Antwerpię. Do książki, ozdobionej interesującymi rycinami, dołączono apendykсы, między innymi z podstawowymi słowami i wyrażeniami w języku polskim oraz wskazówkami co do wymowy głosek. Przekład obejmuje tylko drobną część 256 stronicowego tekstu; ze względu na szczupłość miejsca nie przetłumaczono także całej peregrynacji przez Tatry, zajmuje ona bowiem kilka rozdziałów. Jako dokument epoki, ważny także dla Polaków, książka powinna się jednak, moim zdaniem, doczekać kompletnego tłumaczenia na język polski.

² Podróżnicy jechali od strony Krakowa, w którym wcześniej spędzili trochę czasu.

³ W oryg.: Zakopani Iron Works.

nie oczekiwano nas; wiadomości od nas przepadły gdzieś w samej wiosce, dwie i pół mili od gospody, gdzie kwatery były bardzo nędzne.

Nasza gospoda wyglądała jak ogromny biały barak z trzema większymi pomieszczeniami do przyjmowania gości z lepszych sfer (w jednym z nich było coś w rodzaju stołu bilardowego). Wszystkie pomieszczenia wspólne, kuchnie itp. połączone były tym samym długim centralnym korytarzem, którym bezustannie wędrowali wieśniacy, psy i drób. Gospodarze przyjęli nas z całą uprzejmością i robili co mogli, byśmy czuli się mile widziani.

W porównaniu z Krakowem, gdzie było bardzo gorąco, to miejsce było raczej chłodne. Poza tym byliśmy teraz ponad trzy tysiące stóp nad poziomem morza; w piecu płonął trzaskający ogień i czekały gorące dania, by nas pokrzepić po ekscytującej podróży. Zapłaciliśmy woźnicy osiem florenów i uszczęśliwiliśmy go, dodając jeszcze jednego florena jako napiwek.

Wróćmy jeszcze na świeże powietrze i podczas gdy przygotowany jest nasz obiad, rzućmy okiem na otoczenie. Na długiej ławie za drzwiami rozmaici wieśniacy siedzieli wspólnie godzinami, wygrzewając się w słońcu. Jednym z nich był stary austriacki żołnierz, który walczył w bitwie pod Lipskiem w 1813 roku i widział, jak biedny Poniatowski wpada do fatalnej Elstery i tonie w jej wodach; pomógł wyłowić i pochować jego ciało. Oczy starego żołnierza zaczęły trochę błyszczeć, kiedy przeszedł do opisywania triumfalnego wkroczenia do Paryża i stacjonowania w tym mieście. Teraz był czerstwym, krępkim 88-letnim mężczyzną i dostawał przyjemną sumkę blisko trzech grajcarów dziennie!

Sama dolina była urocza; delikatnie opadała z gór w kierunku znajdującej się poniżej równiny. W miarę jak oglądaliśmy otoczenie, krajobraz podobał nam się coraz bardziej. Dwie minuty spacerem w którąkolwiek stronę prowadziło do cienistego sosnowego lasu z porośniętymi trawą, połyskującymi zielenią polanami, obfitującymi w paprocie, niezwykle rośliny i kwiaty; poziomki ciągle jeszcze kwitły — miały dojrzeć dopiero w sierpniu. Z góry, od Zakopanego, porywiste podmuchy wiatru niosły z sobą śnieżną kaszę i było tak zimno, że kreska na naszym termometrze nie mogła się podnieść powyżej 40 stopni⁴. Po prawej i lewej stronie były wzgórza wysokie na 1000 albo 2000 stóp, natomiast w oddali wznosiły się gigantyczne Tatry, które przybyliśmy poznać.

Nasza gospoda była komfortowa, obiady dobre, pomimo wołowiny każdego dnia i młodych ziemniaków wielkości czereśni. Nic nie mogło przewyższyć życzliwości naszego żydowskiego gospodarza i jego żony. Nie szczędzili trudu, by nasz pobyt uczynić miłym i przyjemnym.

Profesor z Krakowa zarekomendował nam przewodnika, który szybko się pojawił, ochoczo proponując, że zabierze nas wszędzie i pokaże nam wszystko; z powodu jego słabej znajomości jakiegokolwiek innego języka oprócz własnego nie mieliśmy jednak z niego większego pożytku. Już pierwszego dnia odkryliśmy jego małą słabość, to znaczy udawanie, że wszystko rozumie i kiwanie głową na znak zgody na każde pytanie lub uwagę.

⁴ Chodzi o skalę Fahrenheita; w skali Celsjusza to niewiele ponad cztery stopnie.

Na przykład pytaliśmy: „Czy są jakieś niedźwiedzie w tych górach?”. „O tak!” „Jakieś lwy?” Kolejne przytaknięcie. „Tygrysy także?” znów uroczyste skinienie głową na znak zgody. Po tym doświadczeniu w rozpaczy zrezygnowaliśmy z wszelkich dalszych prób konwersacji.

Jedną z podstawowych wycieczek z Zakopanego jest wyprawa do sąsiedniej doliny, zwanej Kościeliską⁵, powszechnie uważanej za najlepszy przykład pięknego tatrzańskiego pejzażu. Nasz gospodarz dał nam swój wóz i konia i po południu pojechaliśmy w dół naszej doliny, aż do głównej drogi, ciągnącej się przez całą długą wioskę Zakopane z jej kościołem i dwoma dzwonami zwyczajowo umieszczonymi w osobnej dzwonnicy. Spotkaliśmy tutaj wielu turystów, którzy byli zakwaterowani w domach różnych wieśniaków; wielu z nich odwołało swoje rezerwacje z równin, by móc odetchnąć orzeźwiającym powietrzem podczas letnich miesięcy.

Kiedy minęliśmy zabudowania, krajobraz stał się zdecydowanie ładniejszy; wraz z urwistym obliczem Giewontu⁶ nagle po naszej lewej stronie pojawiły się góry, a na wprost, kilka mil od nas, samotny szczyt Małych Karpat⁷. Szliśmy kłusem jeszcze kilka mil przez ciemny sosnowo-jodłowy las, z ładnymi widokami przezierającymi przez puste miejsca po wielu wyciętych drzewach, pod górę i z góry, aż w końcu, skręcając ostro w lewo, dotarliśmy do przełomu doliny.

Można by sobie z łatwością wyobrazić, że była to przejażdżka jak przez park angielski porośnięty sosnami, i być skłonny do narzekań na właściciela, że ma aż tak złą drogę. Błyszcząca, zielona trawa pokrywała wszystko na całej trasie naszego przejazdu, łącznie z widocznymi w oddali wzgórzami, na których rosły jodłowe lasy. Strumyczek rozrósł się teraz do solidnych rozmiarów potoku. Zauważyliśmy, że dolina staje się coraz węższa; kiedy zbliżyliśmy się do ruin tego, co kiedyś było gospodą, ściany doliny zamknęły się, tworząc idealny, niezrównanie piękny wąwóz. Kilka mielerzy pracowało po jednej stronie rzeki, a dzieci z walącej się chaty na drugim brzegu dodawały życia i wyrazu całej scenie. Po pensie za kwartę mogliśmy tu kupić mleko od dziecka (oh! Ależ było brzydkie!). W tej okolicy nigdy nie widzieliśmy atrakcyjnej wiejskiej dziewczyny czy grubego wieśniaka. Dzieci latem nie miały na sobie zazwyczaj nic więcej, jak tylko koszule nocne⁸; nosiły je także w dzień.

Węglarzy można było spotkać jak Karpaty długie i szerokie, bo był to świetny interes: węgiel drzewny wysyłano nie tylko na równiny, lecz także do hut w samych górach. Podróżujący przez te rejony musi się zawsze bystro rozglądać, czy nie ma śladów działań tych przedstawicieli „wyższych sfer”⁹, ponieważ tną oni drzewa na szczytach gór i pozwalają im następnie toczyć się bezładnie na sam

⁵ W oryg.: Koscieliszker. We wszystkich odwołaniach do oryginału zachowano pisownię oryginalną. W przypisach podane zostały nazwy użyte przez autora tekstu.

⁶ W oryg.: Giewhan.

⁷ W oryg.: Lower Carpathians. Sądząc z opisu, chodzi jednak prawdopodobnie o Beskid Mały.

⁸ Oryg.: nightgowns.

⁹ Oryg. *gentry* — człowiek z dobrego domu, lecz bez tytułu szlacheckiego.

dół, ufając, że będzie im sprzyjać szczęście i nikogo nie będzie na drodze. Często byliśmy zaskakiwani zgrzytliwym hałasem jakby toczących się kamieni, które okazywały się tymi ogromnymi pniami, torującymi sobie drogę do płynącej w dole wody. Kiedy wracaliśmy, jedno z takich monstrów właśnie stoczyło się ze wzgórza i zakończyło swoją podróż na drodze, którą jechaliśmy, kompletnie ją blokując. Ponieważ u podstawy miało trzy i pół stopy średnicy, nie mogliśmy go ruszyć, musieliśmy więc przenieść nasz wóz przez rów na otwartą przestrzeń, w rezultacie czego zawisł jedną połową nad przepaścią. Jak tylko drzewa znajdują się na dole, są cięte wzdłuż i układane razem w ogromne stosy wysokie na dwadzieścia stóp, a w obwodzie mające stóp trzydzieści. Kiedy się pałą, widać je z dużej odległości: w ciągu dnia z powodu dymu, w nocy zaś z powodu ognistej poświaty.

Przed wejściem do samego wąwozu stanęliśmy, by podziwiać prawie pionowe ściany skalne z białego wapienia, wyróżniające się jaskrawo na tle ciemnego jodłowego lasu. W oddali widać było wysokie szczyty Tatr, niewzruszenie górujące nad całym otoczeniem i zajmujące prawie cały horyzont. Tatry mają 37 mil długości i średnio 9 mil szerokości; pokryte są śniegiem aż do końca czerwca, kiedy to śnieg znika z wyjątkiem kilku bardziej zacienionych miejsc, ale już w połowie września najwyższe szczyty odzyskują swoje zimowe szaty. Karpaty zostały zdobyte przez Rzymian za cesarza Dioklecjana, w roku 295 n.e., po rozpaczliwych walkach, w których zginęła większość górali.

Jak odludne i ciche były te doliny! — przez cały dzień widzieliśmy może dwa ptaki, jeden wyglądał jak ciemno upierzony drozd, drugi jak muchołówka z czarną głową, czarną piersią i kasztanowatym tułowiem. Co do owadów, takich jak muchy, meszki i komary, wyglądało na to, że wszystkie zdechły. Krowy z charakterystycznych górskich ras pasły się na zboczach; owce, dorodne stworzenia z zakręconymi rogami i długą kędzierzawą wełną (większość była czarna, nie biała) wyglądały jak małe bizona, kiedy szaleńczo zbiegały w dół stoku. Kozy przechadzały się obok po pańsku, ich sierść także była długa, ale jedwabista, głowy małe, z wyglądu bardzo podobne do sarnich. Jodła karpacka różni się pod kilkoma względami od swoich pobratymców z Alp i Laponii; rośnie prostsza, wyższa, ma piękniejszą i ciemniejszą koronę. W Karpatach brak różnorodności listowia, brak delikatnej, jasnej zieleni liści brzoź.

Strome szczyty wydają się zagradzać wyższe wejście na Dolinę Kościeliską¹⁰, ale jest to najwyraźniej tylko miejsce dla Czarnego Dunajca¹¹. Tuż za tym wąskim portalem dolina staje się szeroka jak dziedziniec zamkowy, z wielką liczbą skał znów znienacka wyrastających z ziemi. Sto kroków od tego, co było kiedyś gospodą, jest słynne Lodowe Źródło¹² (lodowy potok) — woda o fantastycznie lodowatej temperaturze. Źródło jest otoczone ogromnymi kredowymi skałami, niektóre stoją pionowo, niektóre nawet zwieszają się nad płaskim grun-

¹⁰ Oryg. Thal.

¹¹ W oryg.: black Donajec.

¹² W oryg.: Eisquelle.

tem. Trochę dalej skały tworzą przeróżne fantastyczne kształty; jedna z takich skalnych grup, wyglądająca jak ruiny zamku, jest najpiękniejszą ze wszystkich, jakie znajdują się w Dolinie Kościeliskiej¹³. Zapadał zmrok, kiedy znów byliśmy blisko domu, a świetliki tańczyły i unosiły się w powietrzu ze wszystkich stron. Były takiej wielkości i tak długo potrafiły trwać w bezruchu, że można je było wziąć za gwiazdy. Światło, które dawały, daleko przewyższało to, które dawały nasze własne robaczki świętojańskie.

Wszyscy w tych stronach trzymali w rękach coś, co wyglądało na kostur podróżny, ale w rzeczywistości było krótką siekierą o prostym trzonku. Te używane przez klasy wyższe były bogato zdobione; żeleźce, w którym umieszczone było stylisko, zrobione było z wypolerowanej stali, fantastycznie grawerowanej i przyściętej na kształt polskiego orła, ptasi dziób pełnił funkcję młota, a koniec ogona ukształtowany był w topór, którego ostrze chroniła mosiężna nakładka. Byliśmy bardzo zadowoleni, mogąc kupić taką siekierę od zakopiańskiego wieśniaka.

Rozdział V

Huty w Zakopanem — robotnicy — przerażająca burza — alpejski ogród kwiatowy — łowienie pstrągów — jedna ze stron się smuci — kobiece prace — odwiedzamy uzdrowisko o przerażającej nazwie — postrach małego tubylca — wspinaczka na Magurę — jaskinie — orłosep — wspaniałe źródło

Huty w Zakopanem zasługują na coś więcej niż tylko przelotne spojrzenie. Prawdopodobnie wkrótce będą lepiej znane, ponieważ zaproponowano budowę linii kolejowej, która zastąpi dzisiejsze bardzo niewygodne środki transportu. Huty są w rękach pruskiego bankiera z Berlina, który odkupił je, spekulując, od dawnych polskich właścicieli, by przekształcić w spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. Są bardzo prymitywne i składają się z wielu całkowicie wyposażonych, stojących oddzielnie drewnianych warsztatów, oddalonych od siebie na tyle, by w razie pożaru jednego z nich nie zapaliły się pozostałe. Jeden spłonął w zeszłym roku, co nie może specjalnie dziwić, ponieważ można było zobaczyć w nocy, jak iskry z węgla drzewnego latają nad wszystkimi drewnianymi dachami, wyschniętymi na wiór z powodu gorącego płomienia, który płonął wewnątrz. Ruda żelaza, czerwony hematyt, została znaleziona w paśmie biegnącym przez warstwy wapienia, ciągnącym się nieprzerwanie od strony gór; wydobywają ją wieśniacy, którzy za każdą furmankę dostają dobrą zapłatę. Naturalną konsekwencją takiego układu jest wielkie marnotrawstwo i dodatkowa praca, ponieważ wieśniak po prostu wykopuje każdą grudkę rudy, jaką dostrzeże i pracuje wzdłuż pokładu do czasu, kiedy ten znika. Zbyt nieświadomy, by zdawać sobie sprawę z tego, iż jest to prawdopodobnie tylko uskok, wieśniak porzuca

¹³ W oryg.: Koscieliszker Thal.

robotę w takim miejscu i zaczyna znowu gdzieś indziej. Również węgiel drzewny jest uzyskiwany z kontraktów z wieśniakami i dostarczany do warsztatów furmankami. Ponieważ wokół pełno jest wapienia, którego dodają niewiele jako topnika, same składniki nie kosztują dużo.

A teraz o robotnikach, tych pociągłych, chudych góralach polskich, którzy nie widzą mięsa przez okrągły rok. Są spokojnymi, opanowanymi pracownikami, którzy nigdy nie słyszeli o związkach zawodowych ani nie śnili o strajkach. Dostają średnio dziesięć pensów dziennie, ich głównym pożywieniem są żytnie placki, które samodzielnie wyrabiają i pieką na ogniu. Wielki krzywy dom służył im wszystkim; inne budynki były kuźniami, każdy z gorącymi piecami, młotami i kowadłami. Piece, ustawione tyłem do siebie, zajmowały centrum warsztatu; ogień był podsycany przez dmuchawę. Jedyłą siłą napędową był górski strumień płynący w dół doliny, który miał tę nieocenioną właściwość, że nie zamarzał podczas zimy, więc można było pracować cały rok. Strumień napędzał dmuchawy, podnosił młoty i poruszał obrabiarkami. Młot był zrobiony z dużego, długiego kawałka drewna, z jednego końca miał żelazne okucie, które wyrastało z trybów maszyny na mającym kształt cylindra wale, umożliwiając następnie opadanie pod własnym ciężarem na kowadło. Uderzenia tych przedpotopowych urządzeń były oczywiście słabe: choć zarządzający powiedział nam, że spadają w dół z siłą sześciuset funtów, w to akurat szczerze wątpię. Ich szybkość była regulowana za pomocą kamiennego buforu przyciskanego przez śrubę znajdującą się naprzeciwko wału koła zamachowego. Gdy tam byliśmy, robotnicy byli zajęci głównie zwijaniem płatów żelaza i kuciem osi do wozów. Wielką pociechą było to, że, choć pełna warsztatów hutniczych, ta cudowna dolina nie została zanieczyszczona dymem i sadzą; za to byliśmy bardzo wdzięczni węglowi drzewnemu.

Po pięknym dniu nastąpił deszczowy ranek, musieliśmy więc zrezygnować z wyprawy, jaką planowaliśmy na szczyt Zakopiańskiej Magury¹⁴, jednej z najwyższych gór, jaka była za naszą gospodą, z której powinniśmy mieć widok na panoramę całej północnej strony tatrzańskiego pasma. Przewodnik został zamówiony na piątą rano; mieliśmy spróbować, gdyby dobra pogoda się utrzymała. Niestety! O drugiej rano grzmiało, błyskało i lało co się zowie! Kiedy przewodnik przyszedł, pokręcił głową i odmówił ruszenia się z miejsca przy takiej pogodzie. Teraz trzeba było zachować cierpliwość; nagroda przyszła krótko po śniadaniu, kiedy chmury trochę się rozstały i widać było liczne przejaśnienia. Mimo że nie było przewodnika, chcąc zrobić cokolwiek, zabrałem poręczny alpenstock¹⁵ i obrałem kierunek w górę naszej doliny, po prostu żeby ją poznać. Po mniej więcej półgodzinnym marszu po mojej prawej stronie zobaczyłem górę, która wydawała się łatwa do zdobycia. Ponieważ w pasie byłem przewiązany nieprzemakalnym [płaszczem], mogłem pozwolić sobie na śmiech z odległych odgłosów burzy. Stok góry był z początku pokryty trawą, potem kamieniami i trzeba było blisko godzinę trudnej wspinaczki, żeby zdobyć to, co pierwotnie

¹⁴ Dziś zwany też Kopą Magury.

¹⁵ Właściwie alpenstock; laska alpejska, poprzednik czekana.

wziąłem za szczyt — ale nim z pewnością nie było, co uświadomiłem sobie, kiedy dostrzegłem, że góra jest częścią wielkiego Giewontu¹⁶. Muszę wyznać, że nie należałem do Klubu Alpejskiego¹⁷, nigdy nie przekroczyłem wysokości 11 tysięcy stóp w Europie i staję się nerwowy, kiedy wchodzę na trudne lodowce, ale pejzaż, jaki ukazał się moim oczom, był jednym z tych, którymi nie pogardzi żaden wspinacz. W oddali na północy leżało miasto Nowy Targ¹⁸ ze zbiegającymi się w nim rzekami; blask słońca przebijał się tu i ówdzie przez chmury, rozświetlając pola zielonego żyta, kontrastujące pięknie z plamami głębokiej czerni jodłowych lasów. Dalej można było odróżnić okolice Krakowa i na samym końcu, w pewnej odległości, ciemną i groźnie wyglądającą granicę rosyjską. Tuż obok wyrastała góra za górą, z postrzępionymi nagimi szczytami białego wapienia; na najwyższym szczycie tu i ówdzie leżał śnieg. Piękny z pewnej odległości, znajdował jednak godnego rywala we wspinałym dywanie kwiatów, na którym stałem. Była tu tak pożądana szarotka, którą w wielu miejscach dzieci sprzedawały turystom po dwa albo trzy pensy za sztukę; żółte i białe zawilce, błękitna goryczka wiosenna, która już przekwitwała i wiele innych kwiatów, zbyt licznych, by je wymieniać, przewyższających pięknem barw i rzadkością występowania wszystkie inne rabaty kwietne, z jakimi spotkaliśmy się w Karpatach. Dla pożytku przyszłych botaników zaznaczyłem to na mapie. Dalsze badania szybko zakończyłem, kiedy usłyszałem grzmot; po nim natychmiast nastąpiła błyskawica, co pokazało, że burza idzie właśnie w tę stronę. Zwisająca skała, która była, że tak powiem, zwrócona tyłem do nadciągających chmur, dała mi całkiem znośne schronienie i przykucnięty pod przyjaznym wapieniem, w dobrze zapiętym nieprzemakalnym płaszczu, czekałem nadejścia burzy. Najpierw usłyszałem odgłos dużych kropel deszczu, pędzących przez dolinę w wielkich słupach wody; potem można było prawie stracić dech, kiedy strzała ognia uderzyła w samo centrum wąwozu znajdującego się poniżej. Po półsekundowej przerwie potworny huk wstrząsnął wapienną skałą w posadach, sprawiając wrażenie, że góra się przewróci. Dźwięk przetaczał się echem od szczytu do szczytu, ginąc w końcu we względnej ciszy. W takim momencie, kiedy człowiek słyszy, jak „na dźwięk Jego głosu huczą wody w niebie”¹⁹, raz na zawsze zdaje sobie sprawę z tego, jaką jest drobiną.

¹⁶ W oryg.: Gewhan.

¹⁷ Chodzi o klub założony w Londynie w 1857 roku, skupiający gentlemanów uprawiających wspinaczkę. Prawdopodobnie był to pierwszy klub wspinaczkowy na świecie. Zob. http://www.alpine-club.org.uk/150_Years/Artists_150.html; <http://www.zum.de/whkmla/sp/1011/aum/aum1.html> (dostęp: 21 kwietnia 2012).

¹⁸ W oryg.: Neumarkt.

¹⁹ W oryg.: „Why HE uttereth HIS voice”. Por. Jr 10,13, także Jr 51,16; Ps 28,3–6. W angielskojęzycznej wersji Biblii zob. Jr 10,13 i tak samo Jr 51,16 (polskie przekłady tych dwóch fragmentów nieco się od siebie różnią): “When he uttereth his voice, there is a multitude of waters in the heavens, and he causeth the vapours to ascend from the ends of the earth; he maketh lightnings with rain, and bringeth forth the wind out of his treasures” (*The Holy Bible, Containing the Old and New Testaments: Translated out of the original tongues and with the former translations diligently*

Wciąż i wciąż błyskało i grzmiało; deszcz lał strumieniami, więc pomyślałem, że lepiej będzie jak zejść niżej, do potoku, i spróbuję znaleźć ścieżkę, która zaprowadzi mnie znów do domu, zwłaszcza że ciężkie zwały grubych białych chmur zaczęły nasuwać się na zbocza wokół i pograżyły dolinę w całkowitych ciemnościach. Kiedy dotarłem na dół, skutki nawałnicy były wyraźnie widoczne: ścieżki zmieniły się w rwące strumienie, a rzeka podwoiła swoją szerokość.

Wszystko to jednak zniknęło do popołudnia i zebraliśmy się, by zejść na dół, do jednego z niżej płynących potoków, żeby łowić pstrągi, z nadzieją, że deszcz nie był wszędzie tak samo ulewny i że nie miał większego wpływu na niżej położone tereny. Nasza droga wiodła jakiś czas przez bagniste łąki, aż dotarliśmy do rzeki Olszy. Ale jej wody nie spodobały się nam — ich poziom był za wysoki i były zbyt mętne. Nie oczekiwaliśmy sukcesów, więc nie rozczarowaliśmy się, kiedy tylko mnie udało się złowić jednego pstrąga, a poderwać dwa inne. Rzeka w międzyczasie porobiła małe bystrza, zaczynając od takich wyglądających jak sadzawki dla ryb aż do takich, które wyglądały jak baseny i mogły być obiektem pożądanym każdego wędkarza. Gospodarz, który nam towarzyszył, powiedział, że często przychodzi z płonąca pochodnią w nocy i łowi pstrągi na harpun; wiele z nich ważyło od trzech do czterech funtów.

Na przeciwnym brzegu było jedno szczególne bystrze, którego bardzo pragnęliśmy spróbować. Ponieważ rzeka była za głęboka, żeby przepłynąć się w miarę wygodnie w bród, szukaliśmy mostu. Idąc trochę dalej w dół, natknęliśmy się na drzewo rzucone w poprzek rzeki. Miało nie więcej niż sześć cali średnicy w najgrubszym miejscu. Z wierzchu było wyrównane siekierą, żeby ułatwić chodzenie po nim; ale z tych czy innych powodów przekreśliło się i teraz leżało nieociosaną stroną do góry. Nie byliśmy w stanie go obrócić, ponieważ żeby się nie przesunęło, jego końce umieszczono między dwoma rosnącymi blisko drzewami. Już obróciło się do środka pod własnym ciężarem, a co mogło zrobić z „pasażerem”?

Ano — obróciło się b a r d z i e j, huśtając się z boku na bok, kiedy z pomocą przyjaznego kija dotarłem bezpiecznie do przeciwnego brzegu z siatką w ręce. Następny odważny nie miał tyle szczęścia: przeszedł kawałek i niezadowolony, że wspomaga się tylko kijem, postanowił chwycić zwisającą gałąź. To był błąd: gałąź się złamała, a on zaczął się chwiać, stracił równowagę i spadł prosto w rwący nurt rzeki. Para butów, rękawiczki, które spadły mu z rąk — pływający kapełusz i dryfujący kij — w pierwszej sekundzie to było wszystko, co dostrzeżliśmy. Potem zobaczyliśmy gwałtowną szamotaninę i kotłującą się wodę; głowa i ramiona znów się ukazały; rozpaczliwie chwytając się zdradzieckiego mostu, nasz przyjaciel dobrnął z trudem do przeciwnego brzegu, żeby otrząsnąć się z wody i wrócić do domu jako „człowiek, który stał się mądrzejszy i mokrzejczy”²⁰.

compared and revised with Canne's marginal notes and references, Jesper Harding, Philadelphia 1845, s. 465, 494).

²⁰ Gra słów: wetter (bardziej mokry) — better (lepszy). Autor czyni tu aluzję do fragmentu „Abram returns, a wiser and a better man” z *A Critical and Exegetical Commentary on The Book*

W ten sposób zakończyło się łowienie ryb tego dnia. Łup, z którym wróciliśmy, był niewielki, ale okazał się dobry do zjedzenia; bez wątpienia jednak swój znakomity smak zawdzięczał kucharce — bardzo ważnej osobistości w naszej małej gospodzie. Była tak sławna, że zatrudniali ją wszyscy wokół i o pierwszej po południu można było zobaczyć jej smakowite dania odchodzące w każdym kierunku. Wszyscy mieliśmy obiad o tej samej godzinie i to samo menu, żeby oszczędzić jej kłopotów.

Naprzeciwko naszych okien było pole kartofli; by je utworzyć, najpierw wywieziono granitowe głazy, których tak wiele było w tych dolinach, a potem dobrze użyźniono ziemię. Na polu widzieliśmy głównie chłopki w różnym wieku, około tuzina, ciężko pracujące przy wykopywaniu ziemniaków motykami. Ich przywódczynią była wesoła, towarzyska starsza kobieta, Niemka z urodzenia i wychowania. Narzekała, że kobiety muszą wykonywać wszystkie ciężkie prace — latem w polu i przy żniwach, a zimą przy transporcie drzewa; mówiła, że kobiety są o wiele lepsze od mężczyzn, ponieważ nie palą i nie piją. Sądząc z przykładu, jaki miałem przed oczami, nie wątpilem, że ma rację. Dostawały bardzo dobrą płacę, około sześć pensów *per diem* — suma, której daleko by szukać w tych górach. Jednak chociaż przywódczyni zarzekała się, że kobiety nie palą, widzieliśmy wiele polskich dam²¹ otwarcie palących, nie papierosy, ale cygara, kiedy siedziały w kawiarniach.

Schorowani ludzie, którzy przyjeżdżają do Zakopanego, mają wielką wiarę w leczniczą moc źródła, które tryska z ziemi w dolinie położonej obok naszej. Cieszy się przerażającą nazwą Jaszczurówki²². Pomyśleliśmy, że powinniśmy sami sprawdzić to źródło, więc następnego dnia zabraliśmy nasze ręczniki (nigdy nie podróżowaliśmy bez kilku ręczników kąpielowych) i wyruszyliśmy z tym zamiarem, że spróbujemy się w nim wykapać. Ruszając z dołu, znaleźliśmy ścieżkę prowadzącą dokładnie na prawo, między polami uprawnymi i niewielkimi lasami — przyjemny półgodzinny spacer z pięknymi widokami przez całą trasę. Ścieżka skończyła się wreszcie przy dwóch domach, z których jeden okazał się chłopską chałupą, a drugi budynkiem kąpieliska. Była to tylko drewniana buda wzniesiona na miejscu, gdzie leczniczy strumień tryskał z matki ziemi, zrobiona na coś w rodzaju łaźienki, opróżnianej po każdym kąpiącym się. Nie mogłem wykryć najmniejszych śladów mineralnych właściwości źródła, ani w smaku, ani w zapachu. Woda była bardzo ciepła: teraz miała aż 55 stopni i trzymała taką temperaturę przez cały rok. Słyszałem potem, że źródło słodkiej wody zmieszało się z mineralnym i tak je rozcieńczyło, że jego dawne właściwości praktycznie zniknęły.

of Genesis with a New Translation pióra prezbiteriańskiego pastora Jamesa Gracey'a Murphy'ego, który skomentował w ten sposób Księgę Rodzaju 13,1–4. Por. J.G. Murphy, *A Critical and Exegetical Commentary on The Book of Genesis with a New Translation*, Edinburgh-London 1863, s. 309. Dzieło Murphy'ego było powszechnie znane i bardzo cenione w dziewiętnastowiecznej Anglii.

²¹ W oryg.: ladies. W ten sposób autor poniekąd zaznacza, że być może, zgodnie z informacją, jaką przekazała kobieta, chłopki nie palą, ale panie z wyższych sfer i owszem.

²² W oryg.: Jaszczarowka.

Jednak dwaj polscy gentlemani, którzy wyszli ze swoich kabin, zapewnili mnie, że efekt jest wspaniały i że skóra odzyskuje dawny blask. Przypisaliśmy to temu, że zażyli kąpieli, co było obce ich codziennym obyczajom; a ponieważ miejsce wyglądało bardzo niegościnnie, porzuciliśmy pomysł przeprowadzenia prywatnego śledztwa na temat właściwości tego źródła, które już nie wydawało się nam tak cudowne.

Kiedy wracaliśmy przez wiejski ogród, jednego z tych małych urwisów ubranych w koszule nocne ogarnęła nagle panika na widok obcych i wskoczył prosto do glinianego pieca w ogrodzie, zrobionego podobnie jak nasze gliniane piece w Aldershot²³. Tu zaczął płakać i wrzeszczeć głośno do czasu, aż zniknęliśmy mu z pola widzenia; uważał nas prawdopodobnie za wilkołaki albo wampiry. Nawet dziewczyna piętnasto- czy szesnastoletnia, na którą przypadkowo wpadliśmy w lesie, zakryła twarz szalem jak czarzafem, dokładnie tak, jak tureckie kobiety.

Tatry są górami stosunkowo łatwymi do wspinaczki, co wynika z braku lodu i śniegu; jedyną trudność sprawiają leżące swobodnie granitowe głazy. Nie mogę jednak zarekomendować wybrania się na jakąkolwiek wycieczkę bez przewodnika: raz z powodów bezpieczeństwa, dwa, że znacznie łatwiej jest wspinać się na górę standardowymi szlakami zamiast wykreślać nowe dla siebie i często odkryć w połowie drogi na górę, że musicie się trochę wrócić czy pójść dłuższą trasą, naokoło, w wyniku nieprzewidzianych przeszkód. Mniej czasu zajmuje też pójście za człowiekiem, który nigdy nie waha się co do drogi niż zatrzymywanie się i naradzanie, co teraz najlepiej zrobić.

Mieliśmy jeszcze zaległą wspinaczkę na szczyt Magury, więc wykorzystaliśmy pierwszy piękny poranek, zapewniając sobie na wyprawę jednego z najlepszych przewodników w wiosce. Pozwólcie, żebym spróbował opisać go tak jak stoi, czekając przed naszymi oknami, żeby nam towarzyszyć. Na głowie ma czarny kapelusz²⁴ ozdobiony sznurkiem białych muszelek ślimaków, które zajęły miejsce zwykłej wstążki. Biały flanelowy płaszcz ze szkarłatnym szamerunkiem zwisa mu z ramienia jak peleryna huzara; spodnie mają taki sam szamerunek i zrobione są z tego samego materiału; kamizelka jest z owczej lub jagnięcej skóry i wygląda spod niej krótka biała koszula, która nie sięga dalej jak do pasa. Stopy ma obwiązane kawałkami lnianej tkaniny, która zachodzi powyżej kostek, jak pończochy. Na lnianych owijkach nosi skórzane sandały (bardzo podobne do tych noszonych przez Lapończyków). Są sznurowane skórzanymi rzemieniami, które trzymają również dół spodni. W ręce ma zwyczajowy krótki prosty toporek, służący także jako alpensztok. Płócienny worek, zawiązany na szyi, mieści jego zapasy.

Tak zaopatrzeni wybraliśmy się na górską ścieżkę po lewej stronie doliny, zostawiając główną drogę trochę powyżej naszej gospody. Przez pierwszą milę pejzaż był niezwykle i malowniczy: ogromne masy wapienia wznoszące się w groteskowych kształtach nad zboczem góry. Na północ od ścieżki widać było nagą, pochyloną, wietrzącą z powodu wystawienia na działanie warunków atmosferycznych

²³ Miasto w pobliżu Londynu.

²⁴ W oryginale: wideawake, lekki kapelusz filcowy z niską główką i bardzo szerokim rondem.

rycznych wapienną ścianę, której surowości nie łagodziły żadne rośliny; gdy patrzy się na nią przez znajdujące się naprzeciwko jodły, powstaje czarujący kontrast.

Dolina otwierała się na solidnych rozmiarów łąkę w płytkiej kotlinie; pasło się tam dużo bydła i owiec. Przed wspinaczką zarekomendowano nam zwiedzanie wapiennych jaskiń. Można do nich dojść krętą ścieżką po prawej stronie, a droga zajmie podróżnikowi mniej więcej pół godziny. Są tutaj płaty śniegu przeplatane ślicznymi półkami dzikich kwiatów, wśród których szczególnie bujnie kwitną pierwiosnki. Jak tylko zostaną zapalone świece, można zacząć schodzić do jaskiń, ale trzeba to robić bardzo ostrożnie, ponieważ głazy i kamienie na ich dnie są ruchome i zdradliwe. Te jaskinie, albo raczej ciąg jaskiń (wydają się nie mieć końca) nie są szczególnie warte zapamiętania; wygląda na to, że nie mają wystarczająco dużo wilgoci, by mogły uformować się stalaktyty i stalagmity — jest jej tylko tyle, żeby powstały wapienne nacieki na ścianach, szare i bez połysku. W pojedynczych miejscach woda deszczowa znalazła sobie drogę, dostała się do środka i zamarzała tworząc lodowe bloki na dnie jaskini, wysokie na trzy lub cztery stopy.

Opuściwszy jaskinię, schodziliśmy trudną, wąską kozią ścieżką aż do chwili, gdy ponownie trafiliśmy na idący poniżej główny szlak i szliśmy dalej w górę, mijając kilka wejść do nieczynnych szybów kopalni żelaza. Wspiąwszy się jeszcze wyżej, weszliśmy w kosodrzewinę. Karpaty w nią obfitują. Kosodrzewina (zdeformowane drzewa) przypomina z igieł szkockie jodły, ale zamiast rosnąć w górę, pokrywa swoimi konarami ziemię, na podobieństwo krzewów. Jej wysokość może być różna, od jednej do pięciu stóp; rośnie w gęstych skupiskach, formując przeszkody prawie nie do przejścia. Kiedy na grani zaczynają się mchy i porosty, kończy się kosodrzewina; nie spotyka się też w ogóle brzoź.

Na szczycie Zakopiańskiej Magury jest osobna grupa porośniętych mchem skał, na których znużony podróżnik może zażyć odpoczynku i cieszyć się bezchmurnym dniem oraz pięknymi widokami. Orłosep czy inaczej: kradnący owce orzeł szybuje pod nim majestatycznie, wznosząc się coraz bardziej, aż do chwili, kiedy zaskoczony niespodziewanym widokiem wędrowca idzie jak strzała w górę prawie niedostrzegalnym ruchem skrzydeł i szybko znika w chmurach. Wygląda zupełnie inaczej niż ci nieszczęśni jeńcy, których widzieliśmy w Ogrodach Zoologicznych w Berlinie.

Jedną z osobliwości łańcucha Tatr jest to, że podczas gdy południową stronę pasma tworzą pojedyncze wspaniałe szczyty, wyrastające wprost ze znajdującej się u ich stóp równiny, północna strona (której częścią jest Zakopiańska Magura) pnie się stopniowo, niższe wzniesienia przechodzą w wyższe, każde kolejne wzgórze jest wyższe niż poprzednie. Posępna uroda pejzażu Karpat może początkowo niektórych rozczarować, ale podziwiając widoki z tak dogodnego punktu obserwacyjnego jak Zakopiańska Magura, będą musieli wyznać, że ma ona swój własny szczególny urok, którego nie można znaleźć w innych górskich pasmach. Brak wielkich bagien i śladów podmokłego gruntu, podobnie jak wielkich połaci lodu i śniegu (płaty zielonej darni ciągną się prawie pod same szczyty), sprawia, iż dla wędrowców Karpaty są najprzyjemniejszymi górami do przemierzania

wzdłuż i wszerz, podczas gdy geologowi każą poszukiwać odpowiedzi na wiele pytań, kiedy zauważy, że główny łańcuch składa się tylko z ostrych granitowych szczytów, które wybiły sobie drogę ku górze przez otaczającą je warstwę wapiennych skał.

Spojrzenie ponad góry i doliny, wioski i potoki jest przyjemniejsze dla oka niż oglądanie tylko przyodzianych w śnieżne czapy szczytów, jak to często zdarza się w Szwajcarii. Jak uroczo prezentowało się leżące pod naszymi stopami maleńkie jezioro Czarne²⁵ — wciśnięte między granitowe szczyty i otulone śniegiem jak pisklę w gniazdku. Jest ciemne, nieruchome i pozbawione ryb; wypływa z niego mały potok płynący przez błyszczącą zieloną trawę.

Zejscie z Zakopiańskiej Magury jest dość łatwe: porządna ścieżka prowadzi przez całą drogę, można też pójść do domu na skróty, przez wielki sosnowy las górujący ze wszystkich stron nad wioską. Dzień odpoczynku jest raczej konieczny po każdej takiej wyprawie, a w Zakopanem²⁶ jest wiele wartych uwagi krótszych szlaków, które mogą dostarczyć rozrywki bez zbędnej fadygi. Następnego dnia poszliśmy zobaczyć źródła potoku, który płynął mimo naszej gospody. Opuszczając wioskę, wybraliśmy drogę po prawej, kierując się na południe przez sosnowy las; szybko weszliśmy na teren podobny do otwartego parku, z zieloną murawą tak miękką i gładką jak aksamit; było tam dużo kwiatów, ale żadnych ptaków czy owadów.

Byliśmy teraz w jednej z najładniejszych kotlin Karpat; spoglądaliśmy w dół na morze wierzchołków jodeł, ciemne i jednostajne; wokół nas były góry i szczyty w każdym kształcie i kolorze, od jasnej zieleni trawy i białych pustkowi wapienia do poszarpanych i wyglądających na zagniewane granitów. Czysty błękit powietrza nad głowami, słońce świecące na niebie pozbawionym choćby jednej chmurki, ale upał trzymany w ryzach przez chłodny powiew od strony śniegu — wszystko to może sprawić, że przyjemność płynąca z przebywania w tym pięknym miejscu będzie absolutnie doskonała.

Prowadzeni przez szemranie strumyka (którego dźwięku nie zgubiliśmy ani na moment) doszliśmy w końcu do miejsca, z którego wytryskiwał z ziemi, pędząc wartkimi strugami po stromiznie w dół, do znajdującej się niżej rzeki i tworząc wspaniałą kaskadę. Był szeroki na około 30 stóp, kiedy wypływał z góry, i stawał się budzącym respekt potokiem mającym 12 stóp szerokości i trzy stopy głębokości, kiedy przecinał dolinę; woda była zimna jak lód. Trudno zrozumieć ten fenomen, ponieważ w tamtym miejscu nie było żadnej jaskini: ale było dokładnie tak, jakby ziemia tutaj przeobraziła się w gigantyczne sitko konewki jakiegoś monstrum: woda wytryskująca z pięćdziesięciu miejsc naraz i łącząca się potem w jeden wielki strumień okrążający i przeskakujący paprocie, mchy i glazy do czasu, aż zmieniała się w potok u naszych stóp.

Zostaliśmy jakiś czas oglądając i podziwiając piękny widok, jaki rozciągał się przed nami, jedyny w swoim rodzaju.

²⁵ W oryg.: Czarni.

²⁶ W oryg.: Zakopani.

Następnego dnia była niedziela; najbliższy kościół, rzymskokatolicki, był dwie i pół mili od gospody; przekonaliśmy wykształconego Polaka do zrobienia po południu czytania na świeżym powietrzu. Do rozmaitych wiejskich chałup posłano gońca, żeby zwołać ludzi i zebrało się ich trzydziestu lub czterdziestu, kiedy zbliżał się wyznaczony czas. Był to niezwykły widok. Czytający stał na balkonie wznoszącym się ponad małym zgromadzeniem, które opierało się o płot albo siedziało na trawie z wzniesionymi ku górze twarzami, wsłuchując się z największym zainteresowaniem w przypowieść o synu marnotrawnym i w inne fragmenty *Nowego Testamentu* wybrane przez Polaka. Rezultatem tej głośnej lektury stało się wielkie pragnienie posiadania kopii polskiego *Nowego Testamentu* i chłopci przybywali tłumnie z dużych odległości, żeby spróbować dostać księgę. Nasz mały zapas szybko się wyczerpał przez ofiarowywanie jej tym, którzy potrafili to docenić.

Dwa śluby, oba wśród lepszej klasy polskiego chłopstwa, miały być celebrowane następnego dnia; ponieważ zostaliśmy zaproszeni, by uczestniczyć w uroczystościach, zdecydowaliśmy się odłożyć nasz wyjazd na inny dzień i cieszyć się oryginalną rozrywką: p o d w ó j n y m ślubem w polskiej wiosce.

Rozdział VI

Podwójny ślub polskich górali — jak zostaliśmy zaproszeni — proboszcz z nadzwyczajnym dochodem 20 funtów rocznie — obowiązani do trzymania zapalonych świec bez względu na wzrost — uchodźca z Warszawy — zabawa weselna — czynimy przygotowania do naszej wędrówki i zaczynamy pod dobrą gwiazdą, która szybko blednie — Bukowina — przeprawiamy się w bród przez Białkę, nie bez ryzyka, i docieramy do Węgier — różne typy ludzkie — Jaworzyna i jej zamiłowanie do porządku — złodziej — nocna wyprawa — wielkie Rybie Jezioro

W wieczór poprzedzający dzień ślubu dwie narzeczone, każda w towarzystwie swojego przyszłego męża, zostały z największą atencją wprowadzone do naszego pokoju przez właściciela gospody (który przyszedł, żeby tłumaczyć); odziane w swoje wyjściowe ubrania, były nieśmiałe i zakłopotane, jak większość ludzi w takich okolicznościach. Narzeczeni, jedno po drugim, z powagą podchodzili, by ucałować nasze dłonie i wręczyć nam oficjalne zaproszenie na poranne zaślubiny w kościele i wesele po południu. Przyszli oblubieńcy, pracujący gdzieś w hutach żelaza, wyglądali nieco podejrzanie, chudzi i brzydzy, z tatarskimi rysami twarzy. Narzeczone przeciwnie — były grubymi, wesołymi, dobrodusznymi wyglądającymi dziewczynami. Daliśmy im drobne prezenty, które przywieźliśmy z sobą z Anglii, żeby być przygotowanym na wypadek takich niespodziewanych sytuacji — złote łańcuszki dla pań i po egzemplarzu *Nowego*

*Testamentu*²⁷ w języku polskim dla każdej pary z odpowiednio umieszczonymi w nawiasach nazwiskami. To nie były żarty, wypisywanie ich bardzo długich, trudnych do wymówienia nazwisk. Kiedy udało mi się to zrobić, z powodu głupoty gospodarza o mało nie połączyłem w pary niewłaściwych narzeczonych, ale oni oburzyli się, jak należało, na taki układ. Ponieważ uroczystości weselne miały trwać prawdopodobnie do późnej nocy, a sala taneczna była dokładnie naprzeciwko naszej sypialni, gospodarz dał nam miejsce w innej chacie, gdzie mogliśmy spokojnie spać; nasza podróż do Jaworzyny (osady leżącej na wschód od Zakopanego) następnego dnia po weselu miała być raczej wyczerpująca — sześć godzin wozem i zła droga.

Następnego poranka wszyscy zostali postawieni na nogi; było ogólne święto i w kuźni nie wykonywano żadnych prac. Tutaj śluby, jak u nas, muszą się odbywać przed południem. Zeszliśmy dwie mile w dół do kościoła w Zakopanem i tam czekaliśmy na przybycie orszaku ślubnego. Kiedy oparliśmy się o poręcz od strony drogi, podszedł miejscowy ksiądz i uprzejmie zaprosił nas, byśmy odpoczęli u niego w ogrodzie, w cieniu dużej werandy.

Cóż to był za ogród! Co za dżungla chwastów! Ponieważ ksiądz był silnym, wysokim, korpulentnym mężczyzną pod pięćdziesiątkę zapytałem go, dlaczego nie zadba o ten ogród, ale wyśmiał nawet sam pomysł. Ziemia była dobra dla warzyw, takich jak sałaty, ziemniaki itp., i te, które mogły złapać trochę słońca i powietrza, rosły dobrze. Ksiądz miał kilka uli osobliwej konstrukcji; były małymi kwadratowymi skrzynkami wysokimi na pięć stóp o bokach po około półtorej stopy każdy, ze skośnym dachem i kilkoma dziurami wywierconymi po jednej stronie, żeby pszczoły mogły wchodzić. Powiedział, że był pierwszym księdzem w Zakopanem²⁸; że zbudował kościół i plebanię i że jego pensja wynosi 20 funtów rocznie. Przy takich dochodach nie stał się oczywiście „nadzwyczajnie bogaty”, choć wyglądał na dobrze odżywionego i był bardzo gościnnie, uprzejmie oferując nam różne napoje, ponieważ dzień był gorący. Deklarował się zagorzałym papistą, zwolennikiem nieomyślności papieża i był zdumiony oświadczeniami Döllingera²⁹ czy członków Niskiego Kościoła³⁰, o których mu opowiedzieliśmy.

²⁷ W ory.: *Polish Testament*.

²⁸ Chodzić zatem może o księdza Józefa Stolarczyka, pierwszego proboszcza zakopiańskiego i tatarnika. Zob. między innymi <http://www.pinkwart.pl/stolarczyk/wstep.htm> (dostęp: 22 kwietnia 2012).

²⁹ Johann Joseph Ignaz von Döllinger, katolicki ksiądz, który dał podwaliny pod starokatolicyzm. Konsekwencją głoszenia przez niego poglądów niezgodnych z nauką Kościoła i negowania niektórych dogmatów była ekskomunika. Hutchinsonowi chodzi prawdopodobnie o słynną i powszechnie znaną w XIX wieku krytykę Soboru Watykańskiego I, jaką Döllinger przeprowadził w latach 1869–1871 w artykułach publikowanych w „Allgemeine Zeitung”. Zob. na ten temat między innymi P.M. Baumgarten, *Johann Joseph Ignaz von Döllinger*, <http://www.newadvent.org/cathen/05094a.htm> (dostęp: 20 marca 2012).

³⁰ W ory.: Low Church. Jedno ze stronnictw kościoła anglikańskiego, określane mianem „ewangelickiego”. Na ten temat zob. między innymi M. Godlewski, *Anglikanizm*, [hasło w:] *Podręczna encyklopedia kościelna*, red. Z. Chełmicki, t. 1, Warszawa 1904, s. 211–213. Być może autorowi chodzi o polemikę pomiędzy przedstawicielami High Church (Wysokiego Kościoła), którzy

Nasza sympatyczna rozmowa została nagle zakończona przez dwa wystrzały z pistoletu, które zapowiadały zbliżanie się ślubnego orszaku (wcale nie uderzali w kościelne dzwony, jak się tego spodziewaliśmy); dotarliśmy do drzwi kościoła dokładnie w chwili, kiedy mogliśmy zobaczyć zbliżające się czoło pochodu.

Najpierw szła orkiestra złożona z typowych młodych Niemców pracujących w hutach, w liczbie ośmiu. Zamknijcie oczy i wyobraźcie sobie siebie w Scarborough, Margate czy Harrogate, słuchających dźwięków adekwatnej orkiestry, wprawionej właśnie w ruch na znak policjanta. Na czele kolumny szły dwie narzeczone, ubrane w spódnice koloru pomarańczowego, z wiankami ze sztucznych kwiatów na głowach i wstążkami z tiulu spływającymi po ich plecach. Nie mogę powiedzieć, żeby dzięki ślubnym szatom zyskały na urodzie. Każda była uwieszona na ramieniu młodego człowieka; na ich twarzach malował się wyraz całkowitej rezygnacji, jakby to, co szły zrobić, było ogromnym poświęceniem; tuż za nimi szło sześć druhen, zaopatrzonych w bardzo duże chusteczki do nosa. Cztery były ubrane w muślin, na głowach miały kwietne wianki, z których z tyłu spływały strugami wstążki. One także wyglądały, jakby potrzebowały wsparcia i pociechy, której udzielali im drużbowie.

Ojcowie, matki itd. trzymali się z tyłu. Kościół był małym drewnianym budynkiem pełnym obrazów i rzeźb, w większości szkaradnych. Orszak ślubny dotarł w końcu przed ołtarz i dwie pary uklękły na stopniach, pozostałe zaś na samej podłodze. Chusteczki do nosa były teraz w częstym użyciu i to bez żadnego skrępowania. Jedna z druhen dyrygowała wszystkim, ustawiając towarzystwo na odpowiednich dla każdego miejscach i dając ręką znaki we właściwym czasie.

Nasz przyjaciel ksiądz kazał nam czekać przynajmniej 20 minut, w którym to czasie nikt nawet nie drgnął. Świece długie na około jard zostały zapalone i wręczone wszystkim obecnym; trzymaliśmy je najlepiej jak umieliśmy, a tłuszcz skapywał z nich z każdej strony. Jeden z widzów, Niemiec, popełnił wielki nieakt, odmawiając trzymania świecy.

Wreszcie ksiądz ukazał się we własnej osobie; przyodziany we wspaniałą szatę, wszedł po stopniach ołtarza i bez żadnych ceregieli szybko usunął jedną parę z zajętego przez nią miejsca, po czym przystąpił do ceremonii zaślubiania obu par po kolei. Organy, instrument o słodkim brzmieniu, zaczęły „śpiewać”; ksiądz próbował się dołączyć, co skończyło się marnie. Modlitwy zostały odczytane, dwie grube srebrne obrączki leżały na ołtarzu, obmodlone i pokropione święconą wodą, potem włożono je na palce panny młodej i pana młodego, po którym to nałożeniu podali sobie oni prawe dłonie, a ksiądz związał je razem, owijając je jednym ze zdobionych końców szarfy³¹, wiszącej na jego szyi. Następnie zaczęły się zwykłe przyrzeczenia.

ciężyli ku kościołowi katolickiemu, a zwolennikami Low Church, skłaniającymi się ku rozwiązaniom protestanckim. Zob. na ten temat między innymi S. Smith, *Low Church*, <http://www.newadvent.org/cathen/09399a.htm> (dostęp: 20 marca 2012).

³¹ W oryginale: scarf (inne możliwe tłumaczenie w tym kontekście to szal). Chodzi oczywiście o stułę. Autor, prawdopodobnie protestant, mógł nie znać odpowiedniej nazwy dla tego ele-

Biedne panny młode były bardzo przejęte i gorzko płakały, co powodowało gwałtowne szlochy wśród druhen. Kiedy obie pary zostały zaślubione i ucałowały krucyfiks, przeszliśmy wszyscy w procesji za ołtarz. Miejsce za ołtarzem było ewidentnie używane jako mauzoleum przestarzałych i zniszczonych świętych, którzy leżeli bez najmniejszej konfuzji jeden na drugim, razem z rzuconymi między nich jednym czy dwoma starymi obrazami. Wychodząc z drugiej strony, dostrzegliśmy małą puszkę na datki, na (jak sądzę) opłacenie naszych świec, od których zostaliśmy teraz uwolnieni przez małego chłopca: zdmuchnął je i położył w kościele, żeby czekały do następnej ceremonii. Podczas drogi powrotnej nowo poślubione żony szły wspierane przez matki; w tym czasie my udaliśmy się do księdza, który zaprosił nas do podpisania ksiąg w swoim domu razem z panami młodymi i ich najlepszymi przyjaciółmi; panny młode i ich druhny niczego nie podpisywały.

Mieliśmy przyjemny spacer do domu, prowadzeni przez lokalnego nauczyciela, który wiódł samotne życie w tej odległej wiosce; śmierć pozbawiła go zarówno żony, jak i dzieci. Był, jak wielu innych, uciekinierem z Rosji; walczył jako kapitan w powstaniu 1831 roku³². Między kamieniami rzuconymi koło naszej gospody był wykonany z żelaza pomnik, postawiony kilka lat wcześniej dla upamiętnienia wizyty austriackiego arcyksięcia w Zakopanem. Podczas ostatniego polskiego zrywu, w 1862³³, wokół pomnika posadzono jodły, żeby ukryć go przed ludzkim wzrokiem; ale w tej materii jeszcze nie odniesiono sukcesu, bo na razie jodły były za niskie.

Późnym popołudniem obie panny młode przyszły, żeby zawiadomić, iż uczta weselna jest już gotowa; chodziły razem po całej okolicy, do różnych domów, zapraszając swoich gości — tak jak czytamy w dawnej przypowieści³⁴. Szybko znaleźliśmy drogę do solidnych rozmiarów chaty, gdzie zostaliśmy ciepło przyjęci przez rodzinę; nasze ręce były całowane przez wszystkich jej członków po kolei — raczej nieprzyjemna procedura — co sprawiało, że człowiek czuł się bardzo głupio. Zostaliśmy wprowadzeni do długiego, niskiego pokoju, gdzie stoły były zastawione do takiej uczty, jakiej nie widzieliśmy nigdzie poza Karpatami: wino, piwo, zupy, wołowina, wieprzowina, kurczęta, kaczki, dziczyzna, polska kiełbasa i inne niezliczone dania. Ta wspaniała kolacja musiała kosztować niezłą sumkę — ale była to ważna okazja: powiedziano nam, że jeden z wieśniaków, który uczestniczył w uczcie, wydał na swoje wesele 40 l³⁵. Panny młode czekały na nas, wcześniej zjadłszy obiad. Byliśmy w dużym towarzystwie około 30 osób; wszyscy wielcy wioski byli tutaj, z wyjątkiem księdza. Wypiliśmy zdrowie pań i panów młodych oraz ich rodziców, potem oni wypili nasze zdrowie.

mentu ubioru kapłana, zachowano zatem w przekładzie przypuszczalne znaczenie użytego przez niego słowa.

³² Tak w oryginale.

³³ Tak w oryginale.

³⁴ Por. Mt 22,1–14; Łk 14,15–24.

³⁵ Chodzi najprawdopodobniej o funty (alternatywny zapis symbolu funta) — w całym tekście autor przelicza wszystko zasadniczo na angielskie pieniądze.

Byli szczególnie uradowani obecnością angielskiej damy i starali się uhonorować ją na wszelkie możliwe sposoby. Nie umiem powiedzieć, czy to był dobry czy zły znak dla nowożeńców, ale podczas uczty nadeszła przerażająca wprost burza z grzmotami i błyskawicami, te ostatnie jasnoróżowe, oślepiające; okna zostały natychmiast zamknięte z obawy przed jakimś nieszczęściem, a deszcz lał strumieniami.

Po weselnej kolacji stoły zostały sprzątnięte i wytoczone z pokoju, żeby zrobić miejsce na tańce do godziny 21, kiedy to, poprzedzany orkiestrą, weselny orszak pomaszerował do naszej gospody, żeby bawić się dalej i tańczyć narodowy taniec, „góralski”³⁶, w otwartej dla wszystkich sali. Nie więcej niż jedna czy dwie pary były zajęte tańcem w tym czasie; wykonywali go z wielką powagą. Tak jak *hornpipe*³⁷ naszych żeglarzy, tak i ten taniec wydawał się polegać głównie na próbach przekonania widzów, że wykonawcy mają po dwa kolana w każdej nodze. Mężczyźni z reguły tańczyli podparwszy się pod boki, naprzeciwko swoich partnerek, jak gdyby pokazując swoją przewagę, nieustannie i konwulsyjnie przekładając swoje stopy tam i z powrotem w tym samym miejscu i wyginając swoje ciało na wszelkie możliwe sposoby; potem zaczęli wywijać koziołki, opadali w dół raz na jedno kolano, raz na oba, i znów się podnosili, klaszcząc w dłonie i tupiąc stopami w rytm monotonnej, ale nie nieprzyjemnej muzyki trzech skrzypiec — dwóch małych i jednych dużych. Muzycy siedzieli na stole w kącie sali oświetlanym pojedynczą lampą olejową, zwisającą z sufitu. Tańczące kobiety przez cały czas wyglądały tak uroczyście, jakby od tańca zależały życie i śmierć. Było tak aż do chwili, gdy zniemacka zaczynały wirować wokół własnej osi, nadymając spódnice jak tańczący derwisze. Kiedy przestawały się kręcić, partnerzy obejmowali je obiema rękami i po kilku obrotach dookoła całej izby czasami rzucali je na ziemię. Ulubionymi napojami były piwo, wódka zbożowa³⁸ w niewielkich ilościach i herbata zmieszana z rumem, pite podczas przerw.

Jednak największe uroczystości miały dopiero nastąpić. Wniesiono dwa krzesła i ustawiono na środku sali; obie panny młode ręką w rękę chodziły w kółko i w końcu wzięły krzesła w posiadanie. Dwie starsze panie (ich mamy) przystąpiły do odpinania im ślubnych wieńców i zastępowania ich małymi czepkami mężatek. Wieńce zostały złożone na paterach, które każda panna młoda trzymała na swoich kolanach. Podczas tej operacji panny młode gorzko płakały, a sześć druhen stało wokół i śpiewało radośnie chórem; pieśni intonowała chrapliwym głosem główna druha.

Wreszcie czepki zostały dopasowane; przyjaciele i goście podchodzili jeden po drugim i rzucali datki w monetach i banknotach na wspomniane już patery. Niektóre z tych pieniędzy będą pieczołowicie przechowywane przez całe życie: były tam stare kobiety, które ciągle miały monety otrzymane przy podobnej

³⁶ W oryg.: Courale.

³⁷ Nazwa tańca, najczęściej kojarzonego z solowym tańcem żeglarzy angielskich, szkockich i irlandzkich.

³⁸ Woryginał: corn brandy.

okazji, pięćdziesiąt lat wcześniej. Banknoty i zwykły bilon mogły pomóc w opłaceniu kosztów wyprawy panny młodej i mebli; ale nasz mały datek, pięciofrankowa złota moneta, zostanie (jak powiedzieliśmy wyżej) przekazany następnemu pokoleniu.

Ponieważ wesołość kompanii zaczęła rosnąć, udaliśmy się na spoczynek do naszego tymczasowego lokum, ale nie znaleźliśmy tam całkowitej ciszy, jakiej się spodziewaliśmy, gdyż wcześniej rano nasz nowy gospodarz wrócił z zabawy raczej w złym nastroju z powodu przepicia i obudził nas, bijąc żonę. Miał wielkie szczęście, że nie rozumiałem, o co była awantura, aż do następnego dnia: wtedy mi powiedziano, że takie zachowanie nie było czymś niezwykłym.

Deszcz padał całą noc; gdy nadszedł rano i zamierzaliśmy odjechać, zostaliśmy spokojnie poinformowani, że wyjazd jest niemożliwy, bo po takiej ulewie nie możemy przepłynąć się w bród przez rzekę „Bialki”³⁹ (most oczywiście został zmieciony podczas ostatnich powodzi) i trzeba odczekać przynajmniej jeden dzień z piękną pogodą, żeby pozwolić wodzie opaść, zanim będzie można myśleć o powrocie. Przez dwa dni nie było żadnej przerwy w deszczu i nie mogliśmy ani pójść naprzód, ani się cofnąć, rzeka po obu stronach blokowała nam drogę. Woda bezstronnie zmusiła nas do tego, żebyśmy się uspokoili.

Stół bilardowy w naszej gospodzie stał się dla nas środkiem ucieczki; zawsze można było też rozerwać się, patrząc na różnych chłopów, którzy nas nigdy nie zawiedli w swoich polowaniach na drewniane ławy na dworze. Wszyscy byli obdarcy i brudni, ich ubrania nie były warte więcej niż 18 pensów⁴⁰. Niektórzy z nich byli jednak bogatymi ludźmi: jeden stary mężczyzna, którego nie można by minąć bez ofiarowania mu grajcara, właśnie sfinalizował zakup wioski za 3500 l. gotówką⁴¹. Mieli skłonność do skrajnego skąpstwa. Ostatniej zimy wieśniak z sąsiedztwa, jadąc do domu, dotarł do mostu, na którym trzeba było zapłacić myto w wysokości czterech pensów; choć został ostrzeżony o niebezpieczeństwie, wolał przebyć rzekę w bród, niż zapłacić. Został porwany przez wodę i utopił się; kiedy rzeka oddała ciało, w kieszeni ubrania znaleziono 20 l. w banknotach⁴².

Podobnie jak w Norwegii, tak i tutaj było w bród jajek; chłopki sprzedawały je właścicielkom gospód po pensie za siedem sztuk, jednak ich gotowanie wychodziło drogo: nim przyrządzono je nam na śniadanie, kosztowały już pensa za sztukę.

Zanim deszcz ustał, byliśmy do cna zmęczeni naszym uwięzieniem i w konsekwencji duch w nas mocno podupadł. Znów się jednak podniósł, gdy usłyszeliśmy o niedźwiedziu, który zamieszkał w niedalekim lesie i zbyt swobodnie poczynił sobie z bydłem i owcami. Zorganizowano wyprawę, żeby go złapać

³⁹ Chodzi oczywiście o Białkę.

⁴⁰ W oryginale: one-and-sixpence, dawne określenie na 18 pensów (jeden szyling i sześć pensów).

⁴¹ Chodzi prawdopodobnie o funty; por. przypis 35.

⁴² Jak wyżej.

i mieliśmy ogromną nadzieję, że urozmaicimy sobie monotonię deszczowych dni polowaniem na niedźwiedzia. Niestety, zostało ono odłożone, a my nie mogliśmy czekać, by wziąć w nim udział.

Zrobiła się piękna pogoda i wreszcie barometr szedł do góry. Było to wbrew zapowiedziom wszystkich tutejszych znawców pogody i to przepowiednia barometru okazała się zwycięska! — to by było na tyle, jeśli chodzi o lokalnych proroków!

Dyrektor huty żelaza uprzejmie ofiarował nam swój wóz, żeby zabrał nas do następnego etapu naszej podróży, Jaworzyny⁴³; nie mogliśmy już dłużej zwlekać. Policzył nam 16 szylingów 8 pensów; chłopci chcieli 12 szylingów, jednak warto było zapłacić więcej. Do tego czasu przyjrzelśmy się dokładniej wozom i odkryliśmy, że sekretem wygodnych podróży (które od początku nam się nie podobają) jest znalezienie jak najdłuższego pojazdu, z kołami blisko każdego końca furmanki. Wtedy wasze siedzisko na sianie może zostać umieszczone pośrodku wozu i nie będziecie odczuwali podskakiwania na kamieniach tak dotkliwie jak wtedy, kiedy koła są dokładnie pod wami. Nasze serca uradował widok pięknego poranka w dniu naszej długiej podróży. Kiedy już skrupulatnie zatroszczyliśmy się o to, żeby siedziska były na właściwych miejscach, a bagaż dobrze upchany, furmanka rzeczywiście dawała poczucie takiego komfortu, że gdy rażno toczyliśmy się w dół wioski, doszliśmy do wniosku, iż prawie nie było różnicy, czy jedziemy przez drogi, domy, czy płoty.

Jeszcze raz przecięliśmy drogę zrobioną z żużlu z huty żelaza (po której mali tubylcy, z ich gołymi stopami, poruszali się bardzo ostrożnie), cofając się kilka mil do końca wioski Zakopane, rozciągniętej na dużej długości; tutaj skręciliśmy ostro w prawo i pojechaliśmy wzdłuż brzegów małego potoku przez wioskę Poronin; z każdym kolejnym obrotem kół droga pięła się coraz wyżej. Podróż była dość łatwa tak długo, jak długo były drogi i mosty — ponieważ kilka razy przejeżdżaliśmy przez strumień — ale w kilku miejscach ulewa uszkodziła drogę i zerwała mosty, w ich miejsce ściągając wielkie granitowe głazy. Podskakiwaliśmy na nich, wóz trzeszczał, w jednej minucie podrzucając nas w górę z naszych trawiastych siedzeń, i każąc kurczowo się trzymać boków furmanki w następnej, kiedy koła szły przez kamienie wysokie na stopę. Myślę, że droga na Ludgate Hill⁴⁴, w czasie kiedy ją budowano, rzucając kamienie swobodnie po to, by się ubiły, była znacznie wygodniejsza niż nasza obecna trasa.

Czasami okazywało się, że lepiej jest jechać środkiem koryta strumienia, gdzie głazy nie były tak wielkie i woda nie sięgała aż tyłu cali. Setki razy nasz trakt całkowicie zniknął wskutek powodzi i robiliśmy wszystko, co tylko było można, żeby jakoś jechać: raz przez rowy i zniszczone mosty (których deski były tak luźne, że kiedy konie na nie wchodziły, odginały się, a końskie kopyta wpadały do dziur), raz do góry i na dół, w tę i tamtą stronę brzegów i krzaków, do czasu, aż znów mogliśmy jechać wcześniejszą drogą.

⁴³ W oryg.: Javorina.

⁴⁴ Wzgórze w Londynie.

Kiedy już ominęliśmy wszystkie przeszkody i opuściliśmy łożysko strumienia, wjechaliśmy na strome wzgórze (przynajmniej 500 stóp), na którym leży rozproszona wioska Bukowina⁴⁵. Mieliśmy stąd najpiękniejszy z pięknych widoków na całą północną stronę wielkiego łańcucha Tatr. Śnieg w wielkich ilościach ciągle zalegał w każdym ocienionym żlebie wzdłuż granitowych szczytów położonych na wprost nas, podczas gdy znajdujące się na pierwszym planie mniejsze wzniesienia były pokryte albo jasnozieloną murawą, albo ciemnymi jodłami.

Nasze wielkie pragnienie zejścia z góry po drugiej stronie tego małego brudnego miejsca (gdzie raczej niemożliwe byłoby spędzenie nocy) wynikało z respektu dla przerażającej rzeki Białki — rzeki, przed którą zostaliśmy ostrzeżeni podczas ostatnich deszczy — że słynie z błyskawicznego przybierania wód i z ogromnych kamieni na dnie. Wyglądała wystarczająco groźnie, kiedy wspięliśmy się na jej brzegi: ogromny bezmiar wody rwącej dziko kamienistym korytem, rozciągający się prawie tak daleko, jak sięgaliśmy wzrokiem.

Na darmo szukaliśmy mostu dla pieszych, o którym nam powiedziano, że ciągle jeszcze stoi. Nie było po nim nawet śladu! Zamiast niego znów był inspektor rządowy, uprzejmy urzędnik (wszyscy w Karpatach są uprzejmi), który mówił po niemiecku.

Gdy spytaliśmy go, czy uważa za bezpieczne przejście w bród tego groźnego, wzburzonego potoku, wygląd jego twarzy był daleki od zachwytu; pełnym wątpliwości głosem odpowiedział, że „woda jest ciągle bardzo wysoka i przeprawa może być trudna, ale uważa, że moglibyśmy zaryzykować”. Stosownie do tego jego czterej ludzie przyszli nam z pomocą, podpierali nas i prowadzili nasze konie jak już kiedyś; w krótkim czasie bezpiecznie dostaliśmy się na drugą stronę, tracąc tylko płaszcz, który podskakując, wpadł do strumienia, pędząc na łeb na szyję, aż został złapany przez dwóch tubylców, którzy, zobaczywszy katastrofę, od razu ruszyli w pościg. Jeden doznał porażki, utknąwszy po szyję w dziurze, ale drugi przyniósł płaszcz triumfalnie z powrotem, właśnie wtedy, kiedy uznaliśmy go za bezpowrotnie stracony. Kiedy przekraczając rzekę, siedzi się w jednej z tych dwukółek, z wodą pędzącą pod stopami i wozem i końmi kołyszącymi się i brodzącymi przez kamienie, emocje są prawie takie same, jak gdy płynie się w kajaku podskakującym na progu rzecznym.

Po ponownym odnalezieniu drogi, co nie nastąpiło, dopóki nie pojechaliśmy naokoło przez pola i lasy najbardziej ohydłą boczną ścieżką, jaką sobie można wyobrazić, skręciliśmy na południe, w stronę rzeki, jadąc przez wielką wioskę Jurgów⁴⁶. Tutaj byliśmy na Węgrzech, rzeka Białka była granicą, a obywatele — Słowianami, trochę różniącymi się ubiorem i charakterem od ich braci z drugiej strony rzeki.

Kobiety były prawie atrakcyjne, podczas gdy wcześniej były naprawdę brzydkie. Mężczyźni zamienili swoje filcowe kapelusze z szerokim rondem

⁴⁵ W oryg.: Bukovina.

⁴⁶ W oryg.: Jurgor; autor prawdopodobnie błędnie zapisał zasłyszaną nazwę.

i niską główką na duże czarne kapelusze Garibaldiego⁴⁷ ozdobione wstążką, kształtem przypominające mniej więcej kapelusz hiszpański, ale około dwa razy większe. Zobaczywszy trzech rosnących mężczyzn, wchodzących na drogę w swoich pysznych kapeluszach i z długimi opadającymi włosami, mogliśmy sobie prawie wyobrazić, że to król Karol i jego towarzysze wyszli z ram swoich obrazów na spacer — w rezultacie czego on sam przedłużył zwyczajowe pół godziny wyznaczone mu przez tradycję.

W wiosce Podspady⁴⁸ znów skręciliśmy w prawo, koła naszego wozu zażrzytały na żużlu, pokazując nam, że nie jesteśmy już daleko od naszego celu; także w Jaworzynie były huty żelaza, ale znacznie gorsze niż te, które zostawiliśmy w Zakopanem, ponieważ musiano je zamykać, kiedy nadchodził mróz i zmieniał wodę w lód. Zakończyliśmy podróż po sześciu godzinach, o wiele szybciej, niż oczekiwaliśmy.

Jaworzyna wyglądała na żałośnie ubogą i brudną. Sama gospoda była tak nędzna, że byliśmy trochę niechętni opuszczeniu wozu, ale nie było wyboru. Kilka innych chałup rozproszonych wokół i połączonych z hutą żelaza nie mogło nas przyjąć, więc położyliśmy nasze dobra na trawie naprzeciwko drzwi i odmówiliśmy wejścia do środka, dokąd nie zobaczyliśmy podłóg naszych pokoi gruntownie wyszorowanych mydłem i wodą. Ludzie z gospody bąkali jakiegoś przeprosiny za to, że pokoje wyglądały jak chlew; tłumaczyli, że poprzedniego dnia była zabawa i nie mieli jeszcze czasu na uporządkowanie tego miejsca. Przez więcej niż godzinę siedzieliśmy na naszych bagażach w prażącym słońcu, czekając na zakończenie całej operacji sprzątnięcia. Nasz woźnica odjechał z jednoguldenowym trinkgeldem⁴⁹, którego widok wprawił go w taki zachwyt, że padł na kolana i zanim się domyśliłem, co zamierza zrobić, naprawdę całował moje dobrze nasmarowane tłuszczem buty rybackie.

Mała gospoda była także, jak w Zakopanem, prowadzona przez żydowską rodzinę i, jak wszystko wokół, również jej członkowie, razem i osobno, byli ekstremalnie brudni. Oczywiście nie powinniśmy byli się tutaj zatrzymywać, ale zmusiła nas do tego chęć zobaczenia Morskiego Oka⁵⁰ i powędkowania w wielkim Rybim Jeziorze⁵¹, którego sława dotarła do nas do Anglii.

Rodzina składała się ze starszego mężczyzny, jego żony oraz dwóch dorosłych synów. Przechodząc przez salon pod koniec dnia, zobaczyliśmy ich wszystkich zebranych razem, czytających zniszczoną od częstego używania hebrajską Biblię, z potrawami stojącymi przed nimi, czekających, aż zajdzie słońce. Pościli

⁴⁷ Stożkowaty cylinderek z piórem i dziarsko podgiętym rondem. Źródło: <http://modanastrychu.blogspot.com/p/sownik-pojec.html>.

⁴⁸ W oryg.: Podspadi.

⁴⁹ Czyli napiwkami. Autor pozostawił w swoim tekście niemieckie określenie na napiwek, dlatego zostało ono zachowane w tłumaczeniu.

⁵⁰ W oryg.: Meer Auge.

⁵¹ Używana czasem dawniej nazwa Morskiego Oka (oryg. Fish lake).

24 godziny i teraz, przed rozpoczęciem wieczornego posiłku, czytali wyznaczone fragmenty. Tego dnia była pamiątka zniszczenia Jerozolimy przez Tytusa.

W końcu ogłoszono, że nasze pokoje zostały wysprzątane. Piękne nowe prześcieradła zostały wydobyte na światło dzienne i położone na łóżkach, do materaców włożono świeżą słomę, żebyśmy mogli wypocząć, a na tym wszystkim położono czyste kołdry. Coś w rodzaju obiadu, nie aż tak bardzo złego, postawiono przed nami; pokrzepiwszy się dodatkowo własnoręcznie przez nas ugotowaną i zawekowaną zupą groszkową, zaczęliśmy czuć się odświeżeni i zadowoleni, nawet radując się z naszych wygod i podziwiając widoki.

Dolina Jaworzyny zdecydowanie jest piękna, ale wydawała się nudna nam, którzy przyjechaliśmy prosto z pięknego, dzikiego Zakopanego. Jest tak wąska, że jej mieszkańcy są często zasypani śniegiem przez trzy kolejne miesiące i muszą robić duże zapasy żywności na wypadek takich okoliczności.

Na wschodnim krańcu doliny wyrastała ogromna pojedyncza góra zbudowana z wapienia, nazywana Murań⁵², wznosząca się sześć tysięcy stóp nad poziom morza. Otaczały ją wielkie ściany skalne, wysokie na 150 stóp, sprawiające, że można się było na nią wspiąć wyłącznie z jednego miejsca i to z wielką trudnością. Niemniej jednak, jak tylko śniegi spłynęły, chłopci ruszali ze swoimi owcami na znajdujący się na stoku upłaz⁵³, niosąc je jedna po drugiej na swoich barkach i zostawiając je tam podczas lata, żeby się utuczyły. Najłatwiejsze podejście było chronione przez tymczasowy płot z kosodrzewiny, żeby nie dać zwierzętom żadnej szansy na ucieczkę. Nie doglądali ich żadni pasterze ani chłopcy. Tylko raz na czternaście dni jakiś wieśniak wspinał się urwistą ścieżką, żeby dać im sól i je policzyć.

Kilka lat wcześniej zdarzyło się, że w czasie tej co czternastodniowej wizyty regularnie odkrywano, że dwie albo trzy owce zaginęły. Na próżno przeszukiwano wszystkie skały poniżej pastwiska w poszukiwaniu ich szczątków. Nic nie znaleziono. Było oczywiste, że nie spadły i to, co się z nimi stało, pozostawało tajemnicą. Przypuszczano, że zostały ukradzione; ale któż mógłby być rabusiem?

Trzymano pilną straż i pewnego dnia złodziej się pokazał — oczywiście dwunożny złodziej! — w postaci wspaniałego orła. Zobaczono go, jak złapał w szpony najtłustszą owcę ze stada i odleciał. W tym momencie jego grabieże znalazły swój koniec. Do pułapki na świstaki włożono przynętę w postaci martwej owcy, żywe zostały przeprowadzone w inne miejsce i dzień później, kiedy złoczyńca złożył ponowną wizytę, został ujęty, ku wielkiej satysfakcji mieszkańców wioski.

Na wyprawę do odległych górskich jezior, którą odbyliśmy, powinno się liczyć przynajmniej osiem godzin (uwzględniając godzinę na wędkowanie), a ponieważ podróż do kolejnego miejsca, w którym mieliśmy się zatrzymać, miasta Kieżmark⁵⁴, jaką mieliśmy odbyć następnego dnia, powinna była zająć znów

⁵² W oryg.: Muran.

⁵³ Chodzi o Jagnięcą Zagrodę.

⁵⁴ W oryg. Käsmark.

prawie osiem godzin, konieczne było zejście z gór przed jedenastą następnego poranka.

Nie powinno się absolutnie podróżować po tych drogach po ciemku; nie podlegało to żadnej dyskusji, podobnie jak pomysł spędzenia jeszcze jednej nocy w Jaworzynie. Dlatego też trzeba było chwycać się każdej okazji; zamówiono więc przewodnika tak, żeby był gotowy na pierwszą w nocy, by pokazać nam drogę do jezior. Powiedział, że zna ją dobrze i może iść zarówno w dzień, jak i w nocy. Obserwowany z uprzejmym zainteresowaniem przez gospodynię przygotowującą łóżka wykazałem się wystarczającym optymizmem, żeby położyć się na *wierzchu* kołdry, oczekując, że prześpię się kilka godzin. Próżna nadzieja! Moja obecność stała się sygnałem dla dzwicznego zgromadzenia, miriady komarów przybyły ze wszystkich zakątków na niecodzienną ucztę. Tylko sam Keating⁵⁵ mógł dać sobie radę z takimi wrogami: i zwyciężył, tak jak w Krakowie! — po zaledwie kilku minutach komary były albo martwe, albo sparaliżowane, albo właśnie pikowały w dół. Łóżko stało się jednak nie do wytrzymania i dopiero krzesło dało mi schronienie.

O północy zacząłem przygotowywać się do wyprawy przez zapalenie ognia w kuchni i ponowne zagotowanie resztek zupy z groszku, która nie była już tak dobra jak zwykle. Smakowała jak papier wskutek cynowej powłoki pokrywającej tylko boki, a nie dno i przykrywkę garnka. Przewodnik pojawił się o czasie i przyniósł z sobą białe płócienne zawiniątko, w którym trzymał trochę chleba i wina. Miał także wędkę. I tak ruszyliśmy, pośród „głuchej nocy”⁵⁶ (mógłbym niemal powiedzieć), żeby łapać przebiegłe pstrągi!

Panowały kompletne ciemności i wiedziałem, jak mam się kierować, tylko idąc za białym zawiniątkiem, które przewodnik zarzucił sobie przez ramię i które było ledwie widać, majaczące jako coś białawego, kiedy szliśmy za nim. Pierwszym większym problemem była długa deska rzucona przez wodę spiętrzoną dla huty. Tę trudność szczęśliwie przezwyciężyliśmy i wszystko szło dobrze przez następne pół godziny, ponieważ na ścieżce na wzgórzach nie było żadnych przeszkód; lecz kiedy zeszliśmy na dół na drugą stronę i zbliżyliśmy się do rzeki Białki, napotkaliśmy wielki las ciemnych jodeł prawie dotykających nieba.

Prawie niemożliwe jest opisanie, jak trudno było nam się przez nie przeдрzeć. W jednej chwili przewracaliśmy się o wielki kamień na okropnej drodze; w drugiej zapadaliśmy się po kolana w głębokie błotniste koleiny pełne wody. Nie spotkaliśmy żywej duszy i nie słyszeliśmy żadnych dźwięków przez całą drogę w tym lesie. Posuwaliśmy się do przodu oczywiście raczej wolno, do czasu

⁵⁵ Proszek przeciwko insektom na bazie pyretryny (naturalnego pestycydu), stosowany powszechnie przeciwko insektom w Wielkiej Brytanii w XIX i na początku XX wieku. Zob. http://www.terahertz.co.uk/index.php?option=com_content&view=article&id=132&Itemid=632 (dostęp: 15 lutego 2012).

⁵⁶ Oryg.: „dead of the night”, cytat z komedii Williama Szekspira *Wieczór Trzech Króli* (wypowiedź Violi).

aż dotarliśmy do terenu jeszcze bardziej zarośniętego niż ten, przez który właśnie przeszliśmy.

Wtem przewodnik zaczął dygotać! I trudno się dziwić — poczuł, że stoi w bagnie, w wodzie po kolana. Całkiem się poddał i wyznał, że zgubił drogę. Wspaniała sytuacja o drugiej nad ranem! Co robić?

Nie można było oczekiwać szarego światła wczesnego świtu wcześniej niż za co najmniej dwie godziny; zimno było stać tak bez ruchu w bagnie. Zdecydowaliśmy się odbić w lewo, potem trochę kluczyliśmy i w końcu, ku naszemu wielkiemu ukontentowaniu, znów trafiliśmy na drogę.

Idąc dalej, mijaliśmy stosy tłącego się węgla drzewnego, żarzącego się niezwykłym światłem w środku lasu; kiedy dotarliśmy do rzeki, już się dłużej nie baliśmy, ponieważ mogliśmy zobaczyć światło dokładnie między drzewami, pomiędzy których wyszliśmy. Światło zniknęło, kiedy zatrzymaliśmy się na brzegach małego strumienia, dopływu Białki. Pędził obok nas, jak jego bracia, pełen wielkich kamieni, ale głęboki nie więcej niż na trzy stopy. Przewodnik wskoczył do wody, a po nim ja, potykając się i ochlapując, kiedy prąd robił co mógł, żeby nas przewrócić. Szybko dotarliśmy do przeciwległego brzegu, gdzie zrobiliśmy przerwę, żeby opróżnić nasze buty z lodowato zimnej wody i wycisnąć ją także z naszych pończoch.

Znów ruszyliśmy w drogę szybkim krokiem, najpierw przez wielkie głazy, które leżały w ogromnych stosach, stoczywszy się z wznoszących się nad nami gór, potem przez trawę, za którą była droga z belek drewna, długości 50 jardów: ułożono ją z małych jodeł leżących luźno jedna przy drugiej na kawałku bagiennego gruntu; były bardzo śliskie, bo przez cały czas były mokre.

Szliśmy teraz dalej pod górę, klucząc przez krzaki jałowca i kosodrzewinę; kiedy już myśleliśmy, że zaraz zobaczymy jeziora ze szczytu tego stromego wzniesienia, okazało się, że czeka nas jeszcze kolejne pół godziny mozolnej, łagodnej wspinaczki wzwyż i wzwyż, głównie przez powalone jodły leżące na ziemi i poszycie lasu złożone zasadniczo z krzaków czarnych jagód sięgających do pasa.

Wreszcie, pełni słusznej dumy, zawołaliśmy: „Wielkie Rybie Jezioro!”. Aneroid pana Solomona zarejestrował 4500 stóp.

Oh! Leniwi spacerowicze z uzdrowiska Scarborough! Z moło w Ride! Albo z nadmorskiej promenady! Mówicie: „No dobrze, mogłem c o s przegapić! Ale, dzięki Bogu, nigdy nie znalazłem potrzeby stosowania śmiertelnego proszku Keating’a!”

Prawda! Tak może być! Ale to c o s, co przegapiłeś, jest warte tych opakowań Keating’a.

Widok tak wspaniały, że aż nie do opisania — pejzaż niezwykle oryginalny, oprócz tego, że piękny! — orzeźwiający, dający uczucie wielkiej radości górskie powietrze, wlewające nowe życie w twoje żyły! — wszystko to hojnie wynagradza wszelkie niewygody, jakie nieodwołalnie czekają na podróżników, którzy chcą postawić swoją stopę w Karpatach.

Tym, co wznosiło się okazało naprzeciwko nas jak ogromna ściana zwartego granitu, była góra Mnich⁵⁷. Widać było jej surowe ściany skalne i poszczerbione granie, wyglądające jak mnóstwo ostrych zębów, z każdą rozpadliną i żlebami pełnymi najbielszego śniegu!

Pierwsze promienie wschodzącego słońca właśnie dosięgły wierzchołków najwyższych szczytów, rozświetlając je ciepłymi, różowymi barwami. Światło było tak jaskrawe i żywe, że odbijało się w dole u stóp góry, a tam rozplątało się w tak cudownym jeziorze, jakiego oko nie widziało — jego brzegi otaczał nagi granit, przetykany tu i ówdzie plamami jasnozielonej trawy i ciemnozielonej kosodrzewiny. To było piętro turniowe, granica roślinności i cała przyroda wyglądała na zwyciężoną przez zimne poddmuchy wiatru z sąsiadujących szczytów.

Po lewej stronie wyrastała zielona ściana, oddzielająca inne piękne jezioro, Morskie Oko. Ono także było otoczone przez podobne granitowe góry, a pas ziemi, który rozciągał się w poprzek niego, nie dopuszczając do wypływu wody, miał tak nienaturalny wygląd, że początkowo można było być pewnym, że to zbiornik jakichś wodociągów dla dostarczania wody do wielkiego miasta położonego na nizinie. Nadmiar wody spływał niebieskawą strużką i zamarzając, tworzył lodowe nawisy.

Pod moimi stopami solidnych rozmiarów strumień (powstały z wody wypływającej z obu jezior) spływał w dół, tworząc dalej jedno z najbardziej kuszących sadzawek pstrągów, jakie kiedykolwiek dane mi było zobaczyć. Idąc przez las, znaleźliśmy drogę do wody poniżej, czystej jak kryształ, przejrzystej jak lustro bez skazy, z wyjątkiem chwil, kiedy czasami poranny wietrzyk marszczył ją w drobne fale. Małe pstrągi żerowały blisko brzegu, duże pluskały swobodnie nieco bardziej w głąb, robiąc sobie śniadanie z ryzykanckich much unoszących się w powietrzu nad wodą. Nie traciliśmy czasu na składanie wędek i zarzucanie kilka razy z brzegu jeziora, a pomimo przejrzystości wody i względnego bezruchu powietrza prawie każdy rzut został nagrodzony przez branie.

Wszystkie ryby były małe i wyglądały jak inne pstrągi z jezior. Mówiono, że w tym jeziorze są ogromne pstrągi szczególnego rodzaju; wyjaśniano to tym, że dawno temu jakiś łoś musiał znaleźć drogę do jeziora, a potem już nie był w stanie wrócić. Bez względu na to, jak było, nie mogliśmy dać jezioru więcej czasu, ponieważ zatoczki w rzece domagały się uwagi; ulokowawszy się przy pierwszej z nich, znalazłem sportową rozrywkę najwyższej klasy. Ryby tutaj były innego rodzaju — normalny pstrąg rzeczny, przeciętnie ważący pół funta, o zaokrąglonych kształtach, trochę brązowy w kolorze, podczas gdy ryby z jeziora były przezroczyste, z jasnymi czerwonymi plamkami. Jeśli dodamy do tego figlowanie w wodzie i wyskakiwanie wysoko ponad jej taflę, dostaniemy rybę bardziej podobną do lipienia.

Weszliśmy do następnej zatoczki w nadziei złapania większej ryby, ale wszystkie były tych samych rozmiarów. Czas się skończył, ponieważ mu-

⁵⁷ W oryg.: Monch.

sieliśmy wrócić do gospody do dziewiątej rano; więc, zgromadziwszy razem łup (20 ryb), niechętnie zaczęliśmy schodzić, rzucając liczne tęskne spojrzenia na różne niewypróbowane zatoczki, które mijaliśmy. Idąc, spotkaliśmy grupę niemieckich turystów, którzy obozowali tutaj całą noc. Muszę przyznać, że im zazdrościłem; choć musiało im być bardzo zimno, nie spotkało ich nic gorszego!

Zeszliśmy polskim czy też lewym brzegiem Białki, przechodząc kilkoma spuszczonymi na wodę balami w miejscu, gdzie strumień wypływa z jeziora; zamiast okropnej ścieżki, którą gramoliliśmy się w górę po węgierskiej stronie, był tu zupełnie zacy trakt dla kuców i bydła. Nad każdym z dopływów, przez które musieliśmy przechodzić, przerzucone były drzewa, wykorzystywane jako mosty.

Po dwóch godzinach marszu, w tempie przynajmniej pięciu mil na godzinę, zacząłem się dziwić, jak przekroczyliśmy Białkę, widząc, że jesteśmy po *złej* stronie, a teraz był to spory strumień, tak szeroki jak Tamiza w Datchet, szczęśliwie nie tak głęboki, chociaż trochę bardziej bystry i dziki, kiedy się mu przyjrzeć.

Zadałem to bardzo naturalne pytanie przewodnikowi — jak dostaniemy się na drugą stronę? — wzruszył po prostu ramionami i powiedział, że nie wie!

Naturalnie, trochę się rozgniewałem i zapytałem, co sobie wyobrażał, wpędzając mnie w takie tarapaty?

Kolejne wzruszenie ramion było jedyną odpowiedzią; i nic więcej nie można było z niego wydostać.

Wyglądało na to, że łódki są nieznane w tych rejonach i naszą jedyną nadzieją na przeprawę była jakaś chłopska furmanka, która mogła — albo nie — przypadkowo przejeżdżać akurat tego dnia.

I tak czekaliśmy, poddając się niefrasobliwemu stylowi bycia naszego przewodnika; pod koniec niespokojnego półgodzinnego oczekiwania (byliśmy większymi szczęśliwcami, niż ktokolwiek śmiałby przypuszczać) jest! Nadszedł tubylec z koniem i wozem i po wielkim targowaniu się życzliwie zgodził się przewieźć nas przez rzekę. Tam znów znaleźliśmy naszą starą drogę — tę, którą przemierzaliśmy w ciemności — i zobaczyliśmy ślady naszych chwiejnych kroków; dziwiliśmy się przede wszystkim temu, że ani nie złamaliśmy nogi, ani nie skręciliśmy kostki podczas tej (jak teraz o tym myślę) szalonej ekspedycji.

Przewodnik prawdopodobnie wcześniej był tego samego zdania i dlatego zażądał zapłaty, zanim ruszyliśmy. Oczywiście nie dostał jej i wyraziliśmy swój niechętny stosunek wobec okazywanych przez niego wymagań, których nigdy nie doświadczyliśmy między Polakami. Nasz obecny woźnica zrobił jednak dokładnie tak samo, więc prawdopodobnie jest to cecha charakteru Słowian.

Przed drzwiami gospody spotkaliśmy naszego gospodarza, który właśnie zabił węża długiego mniej więcej na jard, lekko ciemnobrązowego koloru. Powiedział, że wąż niezupełnie jest jadowity, chociaż jego przyjaciel, który został ugryziony przez podobnego węża dwa tygodnie temu, leżał kilka dni z nogą tak spuchniętą, że była dwa razy grubsza niż normalnie. Gad nie miał płaskiej trójkątnej głowy charakterystycznej dla rodziny zmijowatych.

Jak zwykle, najbrudniejsze miejsca są najdroższe! — i za nasze godne pożalowania pokoje zapłaciliśmy tyle, ile później w Kieżmarku, gdzie wszystko było czystsze i wygodniejsze.

Przeł. Anna Gemra

Through the eyes of a foreigner: Zakopane, Javorina and the Tatras in an account by an English 19th-century traveller

Summary

Fragment of a book by Alexander Hadden Hutchinson (1833–1903), *Try Cracow and The Carpathians*, Chapman and Hall, London 1872, pp. 84–137. The author, known also for his other travels and guides, wrote down his impressions from his holiday tour of Europe. He began it in July 1871. His and his wife's itinerary included Wrocław, Kraków, the Tatras, Prague, Dresden, Leipzig, Düsseldorf and Antwerp. The book, illustrated with interesting prints, includes appendixes with, e.g. basic Polish words and expressions as well as hints as to their pronunciation. The entire text covers 256 pages.

In the translated fragment the author provides an account of his stay in the Tatra mountains. First, he stayed on the Polish side near Zakopane: he provided a detailed description of the first inn, the food, problems with communicating with the guide, peculiarities of the local landscape, the local fauna and flora, characteristic features of highlanders' dress. He explained the work of the charcoal burners and the operation of the ironworks in Zakopane. He devoted quite a lot of attention to a description of a double highlander wedding to which he was invited. In addition, he reported on his expeditions to the Kościelisko Valley and Zakopane Magura. The next stage of the Englishman's journey was Javorina on the Hungarian side. Hutchinson described the difficulties of the journey, taking place shortly after a flood, and a dirty inn; he concluded that the highlanders there were more handsome than their Polish counterparts. He also described the story of a mysterious thief who had stolen fruit from the *uplaz* several years earlier. This part of his tale focuses on the story of a night trip to Morskie Oko (famous in England for its abundance of trout), during which the guide lost his way several times. However, for the author the mountain landscapes made up for all the inconvenience and fatigue.

Transl. by Anna Gemra